



Z tego szpitala
nie każdy
wyjdzie żywy



PASOŻYT

Alicja Horn

PASOŽYT

Alicja Horn

PASOŻYT



Copyright © by Alicja Horn, 2022

Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo

Warszawa 2022

All rights reserved

ISBN 978-83-964687-0-3

ROZDZIAŁ 1

Daniel Schulz próbował się obudzić, ale midazolam sprawiał, że powieki niezwykle mu ciążyły. Słyszał, jak drzwi izolatki otworzyły się i do sali wszedł ktoś obcy. Daniel nie rozpoznał ani kroków, ani zapachu intruza, choć na punkcie zapachów miał prawdziwą obsesję. Kroki ucichły, tak jakby wchodzący przystanął nieruchomo lub rozplynął się w powietrzu. To drugie było możliwe, zważywszy na miejsce, w którym Schulz właśnie się znajdował – Warszawski Szpital Kliniczny im. Wandy Błęńskiej miał opinię jednego z najbardziej nawiedzonych miejsc w mieście. Mówiono, że duchy Polaków rozstrzelanych tu podczas wojny przez Niemców nadal błakają się po labiryncie korytarzy. Ale Schulz nie bał się umarłych. Miał z nimi sporo do czynienia i wiedział, że nie mogą mu nic zrobić. Tym bardziej nie obawiał się żywych, wprost przeciwnie – to jego się obawiano i nie bez powodu przykuto do łóżka, na którym właśnie leżał. Zresztą słuch mógł go oszukać, ale węch nigdy. Zapach osoby, która weszła do sali, drażnił jego nozdrza, wyraźnie sugerując, że jest ona z krwi i kości,

w dodatku nadal obecna gdzieś w pobliżu. Był przyjemnie podniecający, wskazywał na kobietę i Schulz poczuł zbliżającą się erekcję.

– Panie Schulz, przyszedłam sprawdzić, czy wszystko u pana w porządku.

Jej zimny głos wyrwał go z półsnu, dzięki czemu mógł wreszcie otworzyć oczy. Zobaczył nad sobą szczupłą kobietę o blond włosach i niebieskich oczach. Była piękna. Jej biały fartuch i zawieszony na szyi stetoskop wskazywały na to, że jest lekarzem. Nie widział jej wcześniej, choć na oddziale leżał już trzy dni. Patrzyła na niego z wyraźnym obrzydzeniem, co tylko spotęgowało erekcję, ale nie czuł z tego powodu żadnego skrępowania. Wprost przeciwnie. Z przyjemnością chłonał jej zapach, żałując, że nie może zrobić nic więcej.

– Tak, wszystko dobrze. Zważywszy na okoliczności. – Szarpnął ręką przypiętą pasami do poręczy łóżka. – Mam tylko jedną prośbę. Czuję, jak od tego leżenia znowu zatyka mi się nos. Czy mógłbym prosić o pomoc z tym. – Wskazał ruchem głowy na stojący obok niewielki pojemnik z Etometazonem. O tej porze roku miał silne objawy alergiczne, a przymusowa pozycja horyzontalna sprawiała, że miewał trudności z oddychaniem, dlatego regularnie przyjmował sterydy. Teraz skłamał, nie miał żadnych dolegliwości, ale bardzo pragnął powąchać ją z bliska.

– Oczywiście, nie ma problemu – odpowiedziała bez emocji. Podeszła do szafki stojącej przy łóżku i wzięła do ręki opakowanie z zawiesiną. – Proszę wykonać głęboki wdech – dodała, sprawnie rozpylając aerozol.

Docenił jej profesjonalizm. Pozostałe kobiety, lekarki i pielęgniarki, które spotkał w szpitalu, albo bez słowa wymykały się z przestraczem, albo raczyły go przekleństwami. Ta tutaj z całą pewnością również nie była zachwycona przydzielonym jej obowiązkiem, ale przynajmniej starała się tego nie okazywać. Zdradzało ją jedynie spojrzenie.

Kiedy pożegnała się z nim i wyszła z sali, Schulz poczuł żal, że nie została dłużej. Jej zapach ulatniał się, stawał się coraz mniej wyczuwalny. Pragnąc na dłużej zatrzymać go w pamięci, Daniel wykonał głęboki wdech. Postanowił, że jeśli uda mu się uciec, a taki miał plan od początku, symulując objawy, z powodu których go tu przywieziono, odnajdzie tę lekarkę. To nie powinno być trudne. Poczekaj przed szpitalem, będzie ją śledził i dowie się, gdzie mieszka. A potem zrobi to co zwykle. Nawet jeśli zwiększą mu wyrok, nie będzie to miało znaczenia. Dla takiej kobiety warto ryzykować!

Coś zapiekło go wewnątrz nosa i Schulz potarł go o prawe ramię. Pieczenie ustąpiło. Daniel zupełnie się nim nie przejął, w końcu, jak sądził, była to błahostka.

Nie mógł mylić się bardziej. Dokładnie w tej chwili stworzenie wielkości zaledwie dziesięciu mikrometrów przenikało przez nabłonek węchowy jego jamy nosowej, kierując się w stronę mózgu. Droga, którą miało do pokonania, wydawała się nieskończenie długa, biorąc pod uwagę wielkość mikroorganizmu. Jednak ta mała, bezkształtna masa, która docierała powoli w okolice kości sitowej, była w istocie potężna. W ciągu doby miała rozpocząć wytwarzanie enzymów, rozpuszczających osłonki mielinowe neuronów Schulza, zamieniając jego mózg w papkę.

Naturalnie, Daniel Schulz tego nie wiedział. W tej chwili myślał wyłącznie o lekarce, którą przed chwilą spotkał, i o tym, co jej zrobi, kiedy uda mu się wydostać z tego przeklętego szpitala. Zapamiętał nazwisko, które zauważył na identyfikatorze przypiętym do jej fartucha – Marta Wolska. Pragnął ją dopaść.

Tyle że Daniel Schulz miał już nigdy żywy nie opuścić murów Warszawskiego Szpitala Klinicznego. Choć czuł się zdrowy, jego los został właśnie przypieczętowany. Za dziesięć dni zostanie znaleziony martwy na łóżku oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala, w którym leżał. Przyczyna choroby zostanie ustalona tuż przed jego śmiercią, a artykuł naukowy, w którym opisany zostanie kazus Daniela Schulza, będzie szeroko komentowany przez wszystkich specjalistów chorób

zakaźnych w Polsce. I nic dziwnego, skoro znajdzie się w nim opis pierwszego w kraju przypadku negleriozy – zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych wywołanego przez amebę pożerającą mózg.

* * *

Marta Wolska skończyła dyżur i właśnie wracała do domu. Na placu Zbawiciela doszło do niewielkiej stłuczki i teraz dwóch kierowców żywo ze sobą dyskutowało, tarasując tory tramwajowe. To z kolei wyraźnie nie podobało się motorniczemu, który za pomocą ciągłego sygnału dzwonka próbował zmusić ich do zjechania na bok. Na placu panował taki harmider, że ludzie siedzący w ogródkach restauracyjnych zatykali uszy dłońmi. Marta szybko oceniła, w jakim stanie są obaj uczestnicy wypadku, a kiedy było jasne, że nic im nie jest, obojętnie ruszyła dalej. Była wykończona po ciężkim dniu, a właściwie tygodniu pracy, i jak najszybciej chciała znaleźć się w domu.

Z ulgą przekroczyła próg mieszkania. Pomimo upału wewnątrz panował przyjemny chłód. Zrzuciła z siebie na wpół służbowe ubranie, wzięła szybki prysznic i włożyła krótką, luźną tunikę. Potem odgrzała resztki wczorajszego obiadu i włączyła telewizor. Trafiła na serwis informacyjny i – jak można się było spodziewać – doniesienia o Danielu Schulzu. Nie miała ochoty słuchać tego przy jedzeniu, więc zmieniła kanał na

coś przyjemniejszego. Tym czymś był program o metamorfozach wewnątrz. Okazał się strzałem w dziesiątkę. Jej mieszkanie, poza kuchnią, wymagało remontu, a ona nie miała żadnego pomysłu, jak go przeprowadzić. W trakcie oglądania nie mogła się jednak powstrzymać, by nie wracać myślami do Schulza.

Po raz pierwszy dowiedziała się o nim miesiąc temu. Jego aresztowanie odtrąbiono jako wielki sukces policji, choć nie udawało się go złapać przez co najmniej trzy lata. W tym czasie zdążył brutalnie zgwałcić czternaście kobiet. Dwie z nich zmarły. Trzy dni temu usłyszała o nim po raz kolejny, tym razem od komisarza Michała Łazowskiego. Powiedział jej, że Schulz jest chory, a lekarze więzienni nie potrafią stwierdzić, co mu dolega. Miewał bóle głowy i nawracającą gorączkę, dlatego postanowiono przewieźć go na oddział zakaźny „Błęńskiej” (jak w skrócie nazywano szpital, w którym pracowała Marta), aby wykonać pogłębioną diagnostykę.

Marta zrozumiała, w jakim celu Michał przekazał jej tę wiadomość. Nie musiał dodawać niczego więcej. Spotykała się z nim od kilku miesięcy. A od czasu, kiedy pomógł ukryć ciało seryjnego mordercy, który porwał Martę i usiłował ją zabić, byli praktycznie nierozłączni. To znaczy nierozłączni wtedy, gdy akurat nie pracowali. Bo praca wypełniała im obojgu znaczną część życia. Większą, niżby tego chcieli.

Oboje byli częścią tajnego układu, który miał na celu eliminację niebezpiecznych przestępców. Takich, z którymi nie potrafił poradzić sobie wymiar sprawiedliwości – morderców, pedofilów, gwałcicieli. Takich jak Daniel Schulz.

Ludzi, którzy byli w ten układ zaangażowani, Marta nazywała Wyleczonymi, choć Michał tego nie lubił. Tłumaczył, że nie tworzą formalnej organizacji i nie powinni mieć nazwy. To grupa zwykłych, uczciwych osób, wyleczonych ze złudzeń co do tego, że opieszale sądy będą w stanie im pomóc. Dlatego postanowili wymierzać sprawiedliwość na własną rękę, a Michał pomagał w tym, koordynując ich działania. Poszczególni członkowie nie wiedzieli o swoim istnieniu, a wyroki śmierci na przestępcach wykonywane były w taki sposób, by stwarzać pozory naturalnych zgonów.

Marta dobrze pamiętała dzień, w którym dowiedziała się o istnieniu Wyleczonych. Pamiętała również słowa Michała:

– Wielu z tych przestępców miało już procesy i siedziało w więzieniach, ale zostało wypuszczonych. Na przykład za dobre sprawowanie. Wychodzą i są jeszcze gorsi. Więzienie ich degeneruje. Uczy nowych technik, dostarcza współników i daje większe możliwości. Niektórych po prostu nie da się zresocjalizować. Urodzili się, by szkodzić. To zwyrodnialcy i sadyści. W imię

czego mamy to tolerować? Patrząc na cierpienie rodziców, którzy tracą przez nich dzieci? Na krzywdę dzieci pozbawionych rodziców? Włóż jedno zgniłe jabłko do skrzynki, a za chwilę pogniją i inne. Dlatego szukamy tych zgniłych jabłek i pozbywamy się ich, zanim zaszkodzą reszcie. Znajdziesz wśród nas ludzi w każdym wieku i różnych zawodów. Większość nie uczestniczy aktywnie w tropieniu przestępców. Tym zajmujemy się my, policjanci. Kiedy znajdziemy kogoś takiego, szkodnika, uruchamiamy naszą sieć. Pamiętaj, że przestępcy również muszą jakoś funkcjonować – kupują jedzenie, naprawiają samochody, leczą się...

Schulz był takim właśnie przypadkiem. Jego ujęcie było dla policji wyjątkowo skomplikowanym zadaniem. Ale o wiele większym wyzwaniem okazało się udowodnienie mu winy. Nagrania z telefonu Schulza zostały odrzucone przez sąd jako pozyskane w nielegalny sposób. Pozostałe dowody, w ocenie adwokata, również miały istotne wady i czekały w kolejce do uznania za „nie dopuszczalne”. Sprawa, która wydawała się oczywista, z niejasnych powodów zaczęła się komplikować.

Na dodatek Daniel Schulz posiadał legitymację osoby niepełnosprawnej, dzięki której otrzymał w więzieniu szczególne przywileje – pojedynczą celę, specjalnie przygotowane posiłki oraz regularne zajęcia z fizjoterapeutą. Jego niepełnosprawność miała złożoną historię.

Piętnaście lat wcześniej próbował udusić swoją ówczesną konkubinę. Ta, w obronie własnej, posłużyła się jedynym przedmiotem, jakiego mogła dosięgnąć, leżąc na kuchennym stole i desperacko łykając powietrze. Był to długopis. Wbiła go Schulzowi głęboko w przewód słuchowy, przebijając błonę bębenkową i uszkodzając kosteczki słuchowe, w konsekwencji pozbawiając Schulza słuchu w lewym uchu. W ten sposób Schulz zyskał status osoby niepełnosprawnej słuchowo.

Schulz w przeszłości trafiał za kraty wielokrotnie, ale najczęściej powodem były drobne kradzieże i rozboje, więc odsiadki nie trwały zbyt długo. Jednak szybko dostrzegł, że bycie osobą niepełnosprawną w więzieniu ma ogromne zalety. Żałował jedynie, że nie ma orzeczonej niepełnosprawności ruchowej, która wiązałaby się ze znacznie większymi możliwościami. Zainspirowany opowieściami współwięźniów, wśród których samookaleczenia były na porządku dziennym, odrąbał sobie kciuk lewej dłoni. Udało mu się przekonać komisję orzeczniczą, że jest osobą leworęczną, dzięki czemu otrzymał dodatkowy, upragniony symbol przyczyny niepełnosprawności: R – upośledzenie narządu ruchu.

Tuż po aresztowaniu, jako oskarżony o gwałty i zabójstwa, napisał długi list do Rzecznika Praw Obywatelskich. Skarżył się w nim na łamanie praw osób niepełnosprawnych przez funkcjonariuszy więzienia,

w którym właśnie przebywał. Rzecznik, którego głównym zajęciem było tworzenie raportów w rodzaju „Weryfikacja traktowania więźniów z niepełnosprawnością fizyczną i sensoryczną”, zwołał konferencję prasową, podczas której kategorycznie potępił działania straży więziennej.

Wkrótce potem Schulz otrzymał nową celę, znacznie większą od poprzedniej, z porządnym sygnałem wi-fi. W końcu zarzut wykluczenia cyfrowego wobec osoby niepełnosprawnej to było ostatnie, czego życzyłby sobie naczelnik więzienia. Zatrudniono również fizjoterapeutę, specjalnie na potrzeby Schulza, a kucharz więzienny otrzymał listę dań, które Schulz mógł i chciał jeść jako osoba niepełnosprawna „na specjalnej diecie”, co stworzyło konieczność przygotowywania odrębnego menu i zwiększenia składu personelu kuchennego o jedną osobę.

Tego wszystkiego Marta dowiedziała się od Michała. Były to informacje, które media trzymają z daleka od zwykłych ludzi. I być może słusznie, bo Marta wcale nie poczuła się szczęśliwsza, posiadając taką wiedzę. Na dodatek miała świadomość tego, że Michał nie powiedział jej tych wszystkich rzeczy bez powodu. Schulz miał trafić na jej oddział, a Michał oczekiwał, że Marta zachowa się jak przystało na Wyleczoną, którą została kilka miesięcy temu, kiedy udało jej się zabić swojego

porywacza – seryjnego mordercę o przydomku Bestia z Mokotowa.

Gdy usłyszała o Schulzu, zgodziła się pomóc Michałowi, choć pod pewnym warunkiem. W zamian zażądała dokumentów ze śledztwa w sprawie śmierci rodziców, zamordowanych, kiedy Marta była jeszcze dzieckiem. Jako przypadkowy świadek zabójstwa widziała napastników, ale pomimo tego nie zostali oni nigdy ani odnalezieni, ani ukarani. Poza jednym, którego po latach Marta przypadkowo spotkała w szpitalu. I na którym zemściła się, pozbawiając go życia przy użyciu wiedzy i umiejętności, jakie posiadała.

Michał pewnie pomógłby uzyskać dostęp do akt sprawy morderstwa rodziców także i bez jej zaangażowania w sprawę Schulza. Jednak uważała, że Wyleczeni postępują słusznie i nie miała nic przeciwko temu, by być jedną z nich. Oczywiście tak długo, jak nie zagrażało to jej własnemu bezpieczeństwu. A zagadkę śmierci rodziców chciała rozwiązać sama, bez pomocy Michała. Grzebanie w rodzinnych tajemnicach mogło okazać się zbyt bolesne, by dzielić się tym z kimkolwiek, nawet z nim. Poza tym dokonanie zemsty było prawem i obowiązkiem tylko jej, nikogo innego. Dlatego dotąd nie poprosiła Łazowskiego o żadną przysługę w związku z dawną tragedią. Tylko że od dnia zgonu jednego z morderców rodziców mijały miesiące, a ona

nadal nie wiedziała, jak dotrzeć do pozostałych. W dokumentach ze śledztwa mogła znaleźć coś, co by jej w tym pomogło.

Tuż po przyjęciu Schulza na oddział zakaźny Marta pożyczyła od Michała samochód i pojechała nad Jezioro Gosławskie w okolicy Konina. Jest ono podgrzewane przez pobliską elektrownię, dlatego nawet w zimie jego temperatura nie spada poniżej siedmiu stopni Celsjusza. Wiedziała o tym, ponieważ kilka lat wcześniej prowadziła prace badawcze nad obecnością w jeziorze pierwotniaków potencjalnie niebezpiecznych dla ludzi.

Wyniki badań, które wówczas otrzymała, nie były optymistyczne. Wody Jeziora Gosławskiego, a także czterech sąsiednich jezior podgrzewanych przez elektrownię, były siedliskiem wyjątkowo groźnego pasożyta o nazwie *Naegleria fowleri*, znanego lepiej jako ameba pożerająca mózg. Aby dostać się do mózgu, ameba musi zostać wciągnięta przez nos razem z wodą, w której żyje. Dochodzi do tego zwykle przypadkowo, podczas pływania lub zabawy w wodzie. Zakażenie tym pasożytem kończy się najczęściej śmiercią – nie istnieją skuteczne leki, które mogłyby sobie z nim poradzić. Na szczęście przypadki zakażeń *Naeglerią* są niezwykle rzadkie. W Stanach Zjednoczonych, w których prowadzi się diagnostykę takich zakażeń, zdarza się to

zaledwie kilka razy w roku. W Polsce nie zdarzyło się to jeszcze nigdy. Tyle że w Polsce nikt nie bada płynu mózgowo-rdzeniowego w kierunku zakażeń amebą. Objawy przypominają zapalenie mózgu wywołane przez bakterie lub wirusy i z taką diagnozą pacjent umiera, nie uzyskując poprawy po antybiotykach. „Nie ma diagnostyki, nie ma problemu” – jak często mawiał Tomasz Czechowski, ordynator Kliniki Chorób Zakaźnych w „Błęńskiej”, a jednocześnie szef Marty.

Kiedy kilka dni temu ponownie dotarła nad Jezioro Gosławskie, spędziła tam zaledwie godzinę. Tyle wystarczyło, by pobrać próbki z wód powierzchniowych. Miała nadzieję, że wykryje w nich to, po co przyjechała. Nie myliła się. Znalazła, i to w każdej z próbek. Jako pracownik naukowy miała dostęp do szpitalnego laboratorium, więc po powrocie do Warszawy bez problemu i bez świadków zageściła pierwotniaki w płynie, który następnie przelała do buteleczki po Etometazonie. Od Michała dowiedziała się, że Schulz regularnie zażywa sterydy donosowe i pomyślała, że jej badania nareszcie się do czegoś przydadzą – artykuł o *Naeglerii* w jeziorach konińskich, napisany przez nią przed kilkoma laty, nie zrobił na nikim wrażenia.

Podawała mu fałszywy lek w trakcie dyżuru, podczas obchodu, podmieniając opakowanie, które stało przy jego łóżku. Schulz zainhalował *Naeglerię*, niczego nie

podejrzewając. Marta miała nadzieję, że któreś z tych małych stworzonek rzeczywiście dotrze tam, gdzie bardzo chciała, by dotarło. Bo nie miała planu B.

Ziewnęła i przeciągnęła się jak kot. Znudził ją program o metamorfozach wewnątrz, choć kanapa, którą projektant wstawił do salonu pary nowożeńców, była urocza. Zapisała nazwę producenta, postanawiając, że sprawdzi cenę w Internecie. Wstała ze swojej własnej kanapy, tak wytartej i wyblakłej, że nie mogła już na nią patrzeć, i podeszła do Parapetu Chwały, jak nazywała miejsce, gdzie trzymała ulubione rośliny. Miała prawdziwego hopla na punkcie kwiatów doniczkowych i wciąż kupowała nowe. Jej siostra, Kamila, przepowiadała, że mieszkanie zostanie wkrótce wchłonięte przez rośliny, jak słynny kambodżański zespół świątynny Angkor Wat, i któregoś dnia Marta z siekierą będzie musiała przedzierać się przez liany w drodze do kuchni, by zaparzyć herbatę. Ale Kamila się nie znała. Nie rozumiała, jak to jest, gdy dzięki determinacji i odżywkom (które czasami pochłaniały zbyt dużą część pensji, to akurat musiała siostrze przyznać) można sprawić, by niewielka maranta, której nikt nie dawał większych szans, przemieniła się w królową salonu. Maranta była piękna, podobnie jak rosnące obok kroton i aglaonema. Marta mogłaby patrzeć na nie wszystkie godzinami.

I patrzyłaby, w końcu nic nie relaksowało jej bardziej, zwłaszcza po dyżurze, niż buszowanie w liściach ulubionej monstery w poszukiwaniu nowych dziur, gdyby nie dźwięk domofonu. Michał przyszedł wcześniej, niż zapowiadał.

Kiedy przekroczył próg jej mieszkania, wyglądał zupełnie jak wtedy, gdy zrobił to po raz pierwszy – wysoki, ciemnowłosy, z szelmowskim błyskiem w zielonych oczach.

Dobrze, że miała na sobie jedynie tunikę. W drodze do sypialni mogła poświęcić się wyłącznie rozbieraniu Michała.

– Jak poszło w pracy? – spytał, kiedy leżeli wtuleni w siebie, popijając lodowatą lemoniadę, której zapasy Marta przezornie przygotowała wcześniej. Wiedziała, do czego zmierzał.

– W porządku. Zgodnie z planem. Teraz pozostaje tylko czekać. Zobaczymy, czy się uda.

– Lepiej, żeby się udało. Jeśli dojdzie do procesu, zostanie skazany tylko za gwałty. Dwa morderstwa ujdą mu najpewniej płazem. Prokurator mi dzisiaj powiedział.

– Przecież w jego domu znaleźliście przedmioty należące do zamordowanych kobiet?

– Dla sądu może się to okazać za mało.

– To skąd niby miałby je wziąć, jeśli nie zabił tych kobiet?

– Schulz twierdzi, że je znalazł. Przechodził niedaleko miejsc, gdzie leżały zwłoki, i tam właśnie natknął się na te przedmioty.

– Przecież to tłumaczenie urąga logice i... i w ogóle zdrowemu rozsądkowi. Niemożliwe, by sędzia w to uwierzył.

– To poczytaj o seryjnym gwałcicielu prostytutek z Częstochowy. Jedną z nich zabił. Przy nim również znaleziono rzeczy należące do zamordowanej kobiety, ale sąd uznał, że to żaden dowód.

Marta przygryzła usta. Jej siostra, Kamila, która była prawnikiem, też opowiadała takie historie, jeszcze z czasów, gdy pracowała w zawodzie. Teraz zajmowała się swoją córką, Weroniką, i z roku na rok odwlekała powrót do pracy i starych obowiązków. Marta się nie dziwiła. Sama niejednokrotnie miewała dni, kiedy chciała rzucić swoją pracę w cholerę.

– Nie rozmawiajmy już o tym. Nie ma sensu marnować czasu na takie dyskusje. – Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy Michała. – Coś wymyślę, jeśli się nie uda.

– Wiem, jesteś moim ekspertem od zadań specjalnych. – Michał był mistrzem odwzajemniania czułości. Dotyk jego palców był jednak zdecydowanie lepszy niż nowa aglaonema „Crete Flame”.

Marta przymknęła oczy i momentalnie zapomniała o Schulzu, problemach w pracy i starej kanapie.

ROZDZIAŁ 2

Poranna droga do pracy zajęła jej mniej czasu niż zwykle. Tak się działo zawsze, gdy wyruszała z domu znacznie wcześniej, niż musiała. Gdyby wyszła w ostatniej chwili, na pewno nie obyłoby się bez przygód.

Przy drzwiach prowadzących na oddział zamknięty zobaczyła policjanta. Wiedziała, że drugi pilnuje wejścia do sali, w której przebywał Schulz. Nie myślała o nim od wczoraj, ale widok munduru sprawił, że na nowo zaczęła się zastanawiać, czy jej plan ma szansę na powodzenie.

Punktualnie o dziewiętej trzydzieści zaczęła się odprawa, w trakcie której zazwyczaj omawiano trudne przypadki pacjentów hospitalizowanych na oddziale. Dziś tematem numer jeden był Schulz.

– W nocy próbował uciec. Nasze okna nie mają krat, więc zamierzał spuścić się w dół po sznurze, który uplótł z pościeli. W ostatniej chwili zauważył go ktoś z zewnątrz i dał znać ochronie szpitala, a ta powiadomiła policjantów – relacjonował dyżurny.